

ARCHIWUM PAŃSTWA

K O N R A D K U C H A R S K I

Nazywam się K u c h a r s k i K o n r a d. Urodziłem się w styczniu 1934 r. jako syn Jadwigi - nauczycielki i ojca inż. leśnika, absolwenta Uniwersytetu Poznańskiego. Przed wojną, do 1939 r. mieszkałem razem z całą rodziną - w której także jest brat Sławoj - w Wiązowcu, skąd w lutym 1940 r., w nocy zostaliśmy ewakuowani na tereny Związku Radzieckiego. Ojciec był nadleśniczym. Mieszkaliśmy w dużym domu nadleśnictwa. Był to dom służbowy, do którego należało gospodarstwo, którym zajmowała się moja mama. W ostatnich paru latach, ze względu na oddalenie od miejscowości, w której były szkoły, mama po prostu prowadziła gospodarstwo domowe, z wykształcenia będąc nauczycielką, a z zamiłowania taką gospodynią.

Z okresu dzieciństwa pamiętam nasz dom. Był to - w pobliżu lasu stojący - duży drewniany dom, zbudowany z bali, z dużą ilością pomieszczeń, z pięterkiem. Wychowałem się na łonie przyrody, gdyż do szkoły jeszcze nie chodziłem. Całe moje zajęcie sprowadzało się do biegania po polu, do lasu, przyglądani^o się inwentarzowi. Mieliśmy konie, krowy i kury oraz wspaniałego psa, który nazywał się Lango. Od tego czasu wszystkie psy jakie mamy teraz też noszą to miano. Mieliśmy też setera irlandzkiego, którego ojciec używał do polowań. Jako nadleśniczy, był^o jako zobligowany do prowadzenia życia towarzyskiego, szczebla wyższego, nawet wojwódzkiego. U nas odbywały się co najmniej raz w roku huczne polowania z gotowaniem bigosu i nagrodami za nocne trofea. Z opowiadań mamy pamiętam taki wypadek, że ojciec postrzelił kogoś bardzo ważnego, kto szedł z linii i szedł w poprzek nagonki, a był ubrany w futro z włosami na wierzchu.

Okoliczne wsie zamieszkiwali przypuszczalnie Białorusini. Generalnie biorąc były to tereny obecnie przynależne do Białorusi

i chyba też historycznie z tym narodem związane. Ja nie miałem specjalnie do czynienia z miejscową ludnością, ponieważ jak mówiłem, nadleśnictwo leżało na uboczu, a w biurach nadleśnictwa, które było kilkaset metrów od naszego domu byli zatrudnieni urzędnicy mianowani, państwowi. Trudno mi określić jakiej byli narodowości.

Pamiętam pierwszy dzień wojny. Pamiętam doskonale, że mama upiekła właśnie kruche ciasteczka z grubym cukrem na wierzchu, kiedy ojciec wpadł do domu mówiąc, że jest nalot. Zaczęliśmy uciekać do lasu. Ja się przewróciłem mając całe garście tych ciasteczek i je zabłociłem. Było to dla mnie wielkie nieszczęście. Następny taki szczegół pamiętam, kiedy na teren naszego domostwa przybyła grupa wojskowych. Nie potrafię powiedzieć, czy to byli ze wschodu, zachodu, czy to było wojsko polskie. Mama ich zakwaterowała w stodole. Przez parę dni u nas mieszkali i byli żywieni. Pamiętam taki szczegół, kiedy jeden z oficerów pokazał mamie flaszkę i powiedział, że to jest na "czarną godzinę". Jeszcze z tamtych czasów pamiętam wyjazd do Warszawy, zetknięcie się z kolejką, w której zaszekowały mi automatycznie zamykane drzwi. I jeszcze mam w pamięci cały szereg oderwanych obrazów, których nie potrafię sobie skojarzyć z jakimiś większymi historiami. N.p. chowanie się w snopkach w czasie żniw, rozmowy ojca z ludźmi spotkanymi w lesie, gabinet ojca, z gobelinem na ścianie, na którym wisiały flinty, duży pokój, nazwijmy to pobytu dziennego i pamiętam jedną służącą. Ojciec w 1939 r. nie został zmobilizowany, przebywał w domu. Do szkoły jeszcze nie chodziłem, miałem wtedy 6 lat. Cały czas po pierwszym wrześniu przebywałem w domu. Włączenia się wojsk sowieckich do działań przeciwko Polsce sobie nie przypominam. Wiem tylko, że mama żyła w bojaźni o ojca, bo ojciec był tym, który na wezwanie Marszałka udał się na tak zwane Kresy,

jako osadnik. Ponieważ jednak był z natury człowiekiem dobrym, nie ścigał miejscowej ludności za nielegalny zbiór darów lasu, wycinki drzew - po prostu przymykał na to oczy - dlatego został potraktowany przez wojska NKWD, które tam przyszły i miały dokładny wywiad - w przeciwieństwie do innych - łagodnie. Słyszałem z opowiadań mamy, że bardzo dużo leśników zostało zamordowanych. Osadnicy rekrutowali się przeważnie z ludzi, kombatantów wojny polsko-bolszewickiej. Ojciec walczył w obronie Wilna, był odznaczony Krzyżem Walecznych. Ten krzyż jest zakopany razem ze statuetką Piłsudskiego i przypuszczalnie jeszcze innymi rzeczami koło piwnicy ziemnej, w sadzie, w pobliżu naszego domostwa. Po wkroczeniu Rosjan tylko krótki okres czasu mieszkaliśmy w domu. 10 lutego, w nocy, zostaliśmy wywiezieni. Zima była wtedy od samego początku ostra. Prawdę mówiąc, to nie pamiętam kontaktów z Rosjanami, którzy tamte okolice zajęli i prowadzili swoją działalność. W momencie aresztowania, pamiętam wielką nerwowość rodziców, bieganie, bo był jakiś określony czas na zebranie się. Ci co przyszli nas wysiedlać zachowywali się nie najgorzej. Nie było żadnych scysji. To wszystko odbywało się w taki spokojny sposób, Odnosiłem wrażenie, że dla rodziców nie było to zaskoczeniem. Pamiętam skórzane płaszcze tych ludzi i sanie wymoszczone sianem. Zimna nie odczuwałem, przypuszczalnie mama opatuliła mnie dosyć porządnie tak, że dla mnie była to pewna atrakcja, taka sanna nocna na dość długim odcinku, bo stacja kolejowa nie była najbliższej. Wiązowiec nie miał stacji kolejowej. Pamiętam dokładnie, na stacji kolejowej Lida stałem z ojcem, podszedł do nas czerwonarmiejec i zaczął z ojcem rozmawiać. Był w charakterystycznej czapce "budżionnówce" z czerwoną gwiazdą. Wyjął z kieszeni gwiazdę na szpilce i przypiął mi do czapki. Byłem z tego bardzo zadowolony. Potem była jazda pociągiem, z której sobie też niewiele

przypominam. Jechaliśmy wagonami towarowymi. Na środku wagonu stał piecyk żelazny, z obu stron były nary. Pamiętam postoje na stacjach, jak rodzice krzatali się przy jakimś zaopatrzeniu, mężczyźni i starsi chłopcy szukali opału do piecyka. Wyjechaliśmy całą rodziną, razem z ojcem. Nie pamiętam, kto z nami jechał w wagonie i jak długo jazda trwała. Mniej więcej dobrze pamiętam zakończenie jazdy pociągiem i rozpoczęcie jazdy saniami. Sanie były inne niż nasze. Tył miały wyłożony na boki, w kształcie delty, jak obecne samoloty. Jazda saniami była bardzo długa. Jechało się praktycznie od świtu do zmroku. Etapy były tak wyliczone, żeby postoje wypadały w nocy, w określonych miejscach, gdzie było można skryć się pod dachem. W mojej pamięci zachowały się te malutkie domki, ze stromymi dachami i malutkimi okienkami, prawie całe zakopane w śniegu, z jedną centralną izbą, na środku której stał piec, na którym spali gospodarze. My sypialiśmy na podłodze, względnie na narach, które znajdowały się w odległości metra od sufitu. Ze względu na gromadzące się w górnej części pomieszczenia ciepło, tam tak się śpi. Starzy śpią na piecu, młodzi na narach. W jednym narożniku były ikony, izba była otoczona ławami, stał stół i nic więcej. Nie przypominam sobie żadnych innych mebli. Pierwsze meble to spotkaliśmy dopiero w jakichś urzędach, biurach tam na miejscu. No, i pamiętam gigantyczny śnieg który był na całej trasie. Nasz pierwszy dłuższy postój był w Uksorze, potem, po pewnym czasie - nie potrafię powiedzieć po jakim - przewieziono nas do miejscowości Borog^k. Wszystko to się działo w rejonie Szynkurska, dość sporego miasteczka rejonowego leżącego nad rzeką Wagą, w województwie archangielskim. Tam rozpocząłem chodzić do szkoły. Wiele się nie wyedukowałem, bo niestety miejscowi uczniowie traktowali nas, krótko mówiąc okrutnie. Przy pełnej aprobacie kadry nauczycielskiej byliśmy szykanowani

bici, wyśmiewani. Przewracano nas w zasy, zabierano przybory szkolne. Często do szkoły szło się na nartach - oczywiście zrobionych przez siebie, o nabyciu nie było mowy - to je nam połamali, kijki poniszczyli. To wszystko robili koledzy z klasy, bo chodziliśmy do rosyjskiej szkoły. Ja chodziłem do klasy dla młodszych dzieci, brat był w klasie wyższej. Potem, jak mieszkaliśmy na Ukrainie, to brat chodził do szkoły średniej w mieście - mieszkał w bursie - a ja uczęszczałem do ukraińskiej szkoły w Szczarach. Nauczycieli nie bardzo pamiętam. Z programu szczególnie utkwiała mi w pamięci arytmetyka, najbardziej mi się podobała. Tutaj mam świadectwo z drugiej klasy, w którym jest ocena za zaskakujący przedmiot, mianowicie: czystopisanie, czyli charakter pisma. Była też taka, w porównaniu z polską szkołą, różnica, że język rosyjski był prowadzony i oceniany osobno ustny i pisemny.

Moi rodzice w Uksorze pracowali. Ojciec pracował jako drwal, matka z początku też pracowała w lesie, potem w kołchozie. Było to gospodarstwo rolne, które w ograniczonym stopniu uprawiało ziemniaki i zboże. O owocach nie było mowy. Jedynie latem zbieraliśmy maliny i czarne jagody. Jesienią zbieraliśmy kluwkę - duże jagody rosnące na bagnach - i jeżyny, a także masowo grzyby. Kisiło się je w dużych beczkach. Było to duże wsparcie żywnościowe w zimie. W kołchozie dostawaliśmy codziennie kawałek chleba i zupę z czarnych liści. Mieszkaliśmy w barakach. Podzielone one były na dwie lub trzy części. W jednej części mieszkało cztery, pięć, sześć i więcej rodzin. Oprócz nas mieszkał tam starszy pan, bardzo gruby, który co rano walił w ścianę do sąsiedniego pomieszczenia i wołał: "Maciuszczyka skolko wybriakow". To był Białorusin, który od jakiejś Maciuszczyki, czyli żony Macieja domagał się podania godziny. Zegarków tam nikt nie miał.

Boro^k pamiętam o tyle, że tam został aresztowany mój ojciec.

Okoliczności aresztowania ojca nie pamiętam, przypuszczalnie stało się to w nocy, bo na drugi dzień mama poszła do Szenkurska oddalonego o kilka kilometrów, była wtedy zima, ja cały wieczór siedziałem w oknie oddmuchiwałem szybę i obserwowałem drogę, czy mama wraca. Wtedy właśnie mama przyniosła rzeczy ojca, które zwrócili - między innymi kopertowy zegarek - i już ojca więcej nie zobaczyłem. Przed aresztowaniem ojca, codziennie wieczorem cała rodzina się spotykała. Myśmy byli na statusie, nazwijmy to półwięźniów. To znaczy teren nie był ogrodzony, nie było strażnic, był natomiast nadzór nad wszystkimi i obowiązek pracy dla dorosłych i starszej młodzieży. Ojciec i matka wychodzili o pewnej określonej godzinie rano do pracy i wracali, jak się praca kończyła, raczej późno. My w tym czasie, jeżeli było lato, zbieraliśmy co się dało w lesie, jeżeli była zima to ściągaliśmy jakieś drzewo na opał. W piecach musiało się bez przerwy palić, i tak na ścianach był stale szron. Kiedy na dworze było bardzo zimno, w granicach minus 50°C, to dzieciarnia nie ruszała się z domu. Siedzieliśmy cały dzień przy piecu. Pamiętam, że kiedyś na 1 maja wszystkie dzieci dostały cukierki. Ja też dostałem - takie poduszeczki w środku mające jakąś małą słodką.

Po aresztowaniu ojca nasze życie właściwie nic się nie zmieniło. Prosto ojca nie było. Matka pracowała dalej. Radziliśmy sobie o tyle lepiej niż inni, bo mama miała zdolności manualne i maszynę do szycia. Udało nam się tę maszynę zabrać z domu. Mama szybko zdobyła klientelę wśród miejscowej ludności i za kilka ziemniaków, za garść mąki przerabiała, przeniecywała, szyła coś nowego. W zasadzie były to przeróbki. Miejscowa ludność, to byli rodowici Rosjanie mieszkający tu od pokoleń. Odnosiłem wrażenie, że ludności napływowej tam nie było. Szczególnie, w miejscowości Borog^k, która była bardzo dużą wsią, o tym, że miejscowi byli już

tam zasiedzali świadczyło budownictwo, które zasiedlali. To były ogromne domy, z częścią zimową ocieplaną, z częścią letnią lżej zbudowaną i pomieszczeniami dla inwentarza. Wszystko było pod jednym dachem. Tyle tylko, że oni inwentarza nie mieli, bo własność prywatna była zakazana. Wszystko musieli oddać do kołchozu i pracowali na polach kołchozowych, w borach kołchozowych i w stacji maszyn rolniczych. Kołchoz posiadał traktor Lansbuldog, przy którym stale siedziałem, kiedy go traktorzysta naprawiał. Dużo domów było zrujnowanych. W Borku zakwaterowano nas już nie w barakach, ale każdej rodzinie, względnie dwom, trzem, - w zależności od liczebności rodziny - przydzielono część letnią dużych domów. Gospodarze zostali w części zimowej. Do Borku zostaliśmy przeniesieni w 1942 r. Przez dwa lata byliśmy w Uksorze. Do końca pobytu w Uksorze chodziłem do szkoły, jednak ze względu na sytuację stosowałem najróżniejsze uniki, żeby jak najrzadziej tam bywać. Muszę jednak powiedzieć, że z biegiem czasu sytuacja się poprawiała i ludzie miejscowi zaczęli rozumieć, że nagonka na nas jest bez sensu, że my jesteśmy w znacznie gorszej sytuacji niż oni. Zaczął się w nich odzywać jakiś humanizm i przestali nas prześladować. Później nawiązywały się nawet pewne przyjaźnie. Jak mama komuś coś uszyła, to stosunek całej tej rodziny do nas ulegał zmianie, również młodzieży wywodzącej się z tej rodziny. Był taki czas, że miałem przyjaciela Rosjanina, który się mną opiekował. Był w znacznie wyższej klasie - trzy klasy wyżej niż ja - był mocno zbudowany. On stawał w mojej obronie. Potem poszedł do wojska.

O mojej mamie muszę powiedzieć, że to czego ona dokonała, to jest coś więcej niż bohaterstwo. Po aresztowaniu ojca, nie załamwała się, nie poddała się, wręcz przeciwnie walczyła, robiła wszystko, żeby nam nie brakowało tego minimum wyżywienia. Po pra-

cy siadała do maszyny, a przed tem musiała nas opruć, obszyć, umyć i jeszcze po tym wszystkim była zdolna, aby mnie - bo brat sobie już radził sam - uczyć o Polsce, uczyć historii i języka. Bo ja tam powoli dziczyłem z tymi Rosjanami! Jak wróciłem do Polski miałem przez dwa, trzy lata poważne problemy z używaniem języka polskiego. Mówiłem ze specjalnym akcentem, który sobie przyswoiłem w Rosji.

Wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej objawił się u nas faktem odejścia wszystkich dojrzałych mężczyzn ze wsi. Po prostu zniknęli, prawie z dnia na dzień. Zostały tylko wyrostki, które w miarę dorastania również znikwały. Zostali staruszkowie i kobiety. Na ich barkach było utrzymanie całego kołchozu. Nie pojawili się także u nas, ani w okolicy przedstawiciele innych narańdowości. W miejscowości, w której byłem nie było ani Niemców Nadwołżańskich ani ludzi z Kaukazu. Tak samo, później, w Borku ich nie było.

~~Borok~~^k - Borek był ogromną wsią leżącą nad licznymi jeziorami, stosunkowo niedaleko miasta Szenkurska, do którego, od czasu do czasu, urządzaliśmy wypadki. Miasto było o tyle ciekawe, że tam wszystko było zbudowane z drewna, i domy, i chodniki, i ulice. Były tam sklepy, w których - pamiętam - nic nie było, a jeżeli cokolwiek się pokazało, to było wyłącznie na kartki. Najokazalszym domem był drewniany piętrowy dom NKWD i Rejonowego Komitetu Partii. Do Szenkurska ciągnęła nas także przystań statków rzecznych, które kursowały po rzece Wadze. Waga, to rzeka wielkości co najmniej naszej Wisły i to w tej części od Warszawy w stronę morza.

Z lat 1943, 1944 pamiętam jedne święta gwiazdkowe, ubieranie choinki. Czym ją można było ubrać? O ~~bańkach~~^{bombkach} nie było mowy, o wacie tym bardziej. Wycinaliśmy więc ze starych gazet różne postacie i na nitce zawieszaliśmy je na gałązkach drzewka. W szko-

le, w Dzieckim Sadzie były choinki związane z Nowym Rokiem, z Dziadkiem Mrozem, a nie z Gwiazdką. Tam były ładne choinki. Propagandowo dzieci w ZSRR są stawiane na piedestale i są otaczane szczególną opieką, dlatego odbywało się to tak okazale. Żadnych świąt typu naszego, np. opłątka, tam nie było.

O wypadkach odbierania polskim rodzicom dzieci i umieszczenia ich w domu dziecka nie słyszałem. Natomiast zdarzały się fakty dobrowolnego przyjmowania obywatelstwa rosyjskiego. Na tej fotografii jest jedna osoba przeze mnie wydrapana. Taka właśnie była moja reakcja na to wydarzenie. Z przyjęcia obywatelstwa rosyjskiego płynęły pewne profity. W Borku była rzeka, nad nią ruina młyna. Koło tego młyna wyciągano na brzeg kłody drzewa. Wszyscy mówili, że z tego drzewa - już obciosanego - będzie postawiony dom właśnie dla tej rodziny, która zrzekła się obywatelstwa polskiego. Chciano pokazać, co władza radziecka swoim obywatelom zapewnia. Mama nie mówiła nigdy, aby sama spotykała się z propozycjami zmiany obywatelstwa.

Jeżeli chodzi o opiekę lekarską, to sobie nie przypominam, aby istniała jakakolwiek opieka. Przechodziłem ciężkie obustronne zapalenie płuc. Zostałem wyleczony bańkami. Nie przypominam sobie żadnego szpitala, żadnej izby chorych, żadnego białego kitla. Stosowana była jedynie medycyna ludowa.

Mama robiła wszystko, żeby ograniczyć jak najbardziej mój kontakt z tym strasznym obcym światem. Poza szkołą, przebywałem właściwie tylko w domu, względnie w towarzystwie polskich rodzin. Rodziny te, np. Wnukowscy, wrócili razem z nami do Polski. Pan Wnukowski nie wrócił, natomiast przyjechała pani Wnukowska i jej dwóch synów. /Edward jest bardzo zaprzyjaźniony z moim bratem, do dziś utrzymują kontakty, mieszka w Krakowie/ Z rodziną państwa Anderle kontakt nasz się urwał z chwilą przekroczenia granicy

Polski. Oni pojechali w jedną stronę, a my w drugą. Rysiek był moim bardzo dobrym kolegą. Pan Anderle zmarł w 1940 r. w Uksorze. Został pochowany w piaszczystych wydmach, wśród rzadkich brzózek na tamtejszym cmentarzu. Mój brat Sławoj przebywał cały czas z nami.

Wiosną 1944 r., bliżej lata, bo już rzeki były spławne przepłynęliśmy statkiem rzeczny, który nazywał się "Suda roboczy" tj. "Pracownik Portowy" do Archangielska, gdzie mieszkaliśmy w szkole. Już nikt nas nie pilnował. Jako dzieciaki lataliśmy po mieście. Doskonale pamiętam widok - jak wtedy to oceniałem - gigantycznego okrętu amerykańskiego, który stał na redzie portu Archangielsk. Jak się potem okazało, moja wyobraźnia okręt wyolbrzymiła, bo był to tylko niszczyciel amerykański. Potem z Archangielska dość długo jechaliśmy pociągiem. Długie były niespodziewane postoje. Staliśmy w polu. Pociąg ruszał w niezapowiedzianej chwili, ludzie zostawali, potem dojeżdżali, gonili pociąg. Tak przyjechaliśmy na Ukrainę do Szarowki leżącej w kirowogradzkim obłast. Z tej podróży pamiętam, że w większych miastach była przymusowa łaźnia. Mówię, w większych miastach, ale właściwie te miasta nie istniały. Orzeł - Orioł, Mołtawa, Charków były praktycznie zrównane z ziemią. Przypominały mi się te miasta, gdy w 1946 r. widziałem centrum Gdańska. Jak wjechaliśmy na tereny t zw. Łuku Kurskiego, to linia kolejowa biegła między wrakami czołgów. Pokotem leżały, z jednej i drugiej strony toru, czołgi niemieckie i rosyjskie. Tam odbyła się sławna, kilkudniowa bitwa pancerna, która zaważyła właściwie o losach wojny na Wschodzie.

W Szarowce wylądowaliśmy w sowchozie. Były tam resztki pięknego pałacu, w którym przed wojną był dom kultury, a kiedyś był własnością dziedziców, właścicieli całych tych terenów. Mieszkaliśmy w czworakach. Sytuacja nasza zmieniła się na korzyść. Byliśmy

całkowicie swobodni, już nikt nikogo nie pilnował, nikt nikogo do niczego nie gonił. Chodziłem do szkoły ukraińskiej, brat wyjechał do powiatowego miasta Nowa Praga, gdzie chodził do szkoły średniej, tam też mieszkał. Mama pracowała w sowchozie na statusie człowieka wolnego. Zaczęły docierać do nas dary unrowskie. Klimat był cieplejszy, zimy nie było. Można było złapać zająca w sposób dość prosty. Można było trzymać króliki. Ukrainki - bo mężczyzn nie było, wszyscy byli na froncie - traktowały nas kulturalnie, grzecznie, jak równouprawnionych partnerów. Podejrzewam, że doszło do ich świadomości to, że są w takiej samej sytuacji jak my. Do szkoły ukraińskiej chodziłem z przyjemnością, chociaż trudności były spore, bo znając język polski i znając język rosyjski zarówno w piśmie jak i mowie, nagle tu pojawił się inny alfabet i inny język. Podobny do rosyjskiego i do polskiego, ale jednak inny. Szczególnie pisownia języka ukraińskiego jest skomplikowana, bo alfabet jest podwójny. W tym alfabecie są litery łacińskie i jest cyrylica. Trzeba się było do tego przyzwyczaić. Nauczycielkę miałem bardzo sympatyczną. Nie pamiętam jej nazwiska. Wiem, że była Rosjanką. W Szarowce było wtedy chyba stu Polaków. W większości były to osoby, z którymi przebywaliśmy od początku naszej tułaczki. Mimo tego, że w Archangielsku spotkały się transporty z różnych pomniejszych miejscowości z całej obłasci archangielskiej, to - nie wiem, czy na zasadzie przypadku - w naszym pociągu znalazło się sporo osób, które z nami były od początku.

Mama stale starała się dowiedzieć czegoś o losach ojca. Zaświadczenie o jego śmierci jest z roku 1945. Przedtem dotarły do nas, poprzez osoby trzecie, dwa listy od ojca, takie złożone, bo kopert nie było - brat ma te listy - gdzie ojciec nas pocieszał, że wszystko dobrze się skończy, bratu dawał polecenia opie-

ki nade mną i nad mamą, prosił o przysłanie - jeśli to możliwe - cebuli i czosnku, tych podstawowych produktów do zwalczania awitaminozy. Podstawową troską mamy było zdobycie jakichś wiadomości o ojcu. Drugą troską mojej mamy była opieka nad swoją siostrą, ciocią Janiną Stawiarską. Ona została ewakuowana, niezależnie od nas, z innej niż my miejscowości. Razem z ciocią przebywała babcia - mama mojej mamy. Szwagier, czyli mąż siostry mamy, Jan Stawiarski, mój wujek, też był aresztowany. Wrócił dopiero w 1957 r. Oni mieli dwóch synów. Mieszkają obecnie w Zielonej Górze. Jeden z nich jest przewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego Związku Sybiraków.

Na Ukrainie, to już było całkiem inne życie. Już problemów żywnościowych nie było. Rosły ogromne sady, były owoce. W 1946 r. mama wróciła z Kirowogradu i powiedziała, że zostało zawarte porozumienie między rządami Polski i Związku Radzieckiego, na podstawie którego możemy wracać do kraju. Po pewnym czasie przysłali nam karty ewakuacyjne i któregoś dnia wsiedliśmy do pociągu. Był to zorganizowany transport. Jechaliśmy w wagonach towarowych, Pociąg był bezrozkładowy.

Jeszcze mi się przypomniało, że kiedy byliśmy w Borku, to wiele domostw, o których mówiłem na początku, było w ruinie. Właściciele, bądź to pomarli, bądź to zniknęli w jakiś sposób, a ich domy niszczały. Aby chronić wnętrze domu od zimna, stropy były zasypywane grubą warstwą piasku. Myśmy w tych opuszczonych domach bobrowali. Odkryliśmy, że na strychach zawsze istnieje mała komóreczka, z małym stoliczkiem, w którym są szufladki, a w tych szufladkach znajduje się stara korespondencja, kartki pocztowe, koperty. Ponieważ każde dziecko usiłuje zbierać znaczki myśmy też się tym zainteresowali. Nie zdawaliśmy sobie jednak wtedy sprawy z tego, że ta stara korespondencja przedstawia tak ogromną wartość.

Raz na takim strychu ukłułem się w stopę. Chodziliśmy na bosaka, kto tam myślał o butach! Rozgarnąłem piasek i zobaczyłem zamek karabinowy. Zacząłem dalej szukać. To był nagan, wielki pistolet bębnekowy. Ponieważ był zardzewiały, potem w wielkiej tajemnicy go czyściłem, konserwowałem czym się dało. Olej gwizdnąłem ze stacji traktorowej, gdzie raz i drugi chodziłem. Pistolet ten wędrował ze mną - bez niczyjej wiedzy - aż na Ukrainę. Potem z nim przekroczyłem granicę. Mogły być z tego bardzo poważne konsekwencje. Do pistoletu nie miałem amunicji. Mimo, że na polach Ukrainy leżało wiele naboju do mojego nagana nie mogłem dopasować kalibru i długości. Inna historia z Szarowki jest związana z pozostałościami wojny. Żyliśmy między wrakami. Między domami, na polach, w każdym zagajniku stały wraki popalonych czołgów, samochodów pancernych. W okopach, jeszcze na trójnogach stały karabiny maszynowe z założonymi taśmami. Granaty były dosłownie usypane w sterty. Niestety, kilku moich kolegów swoje zabawy z amunicją i z bronią przepłaciło trwałym kalectwem lub nawet śmiercią. Zdarzył się taki przypadek, że rosyjski chłopak - nie pamiętam jak się nazywał - namawiał mnie do tego, abym z nim poszedł obejrzeć interesującą ruinę traktora. W tym momencie wyszła mama i zawołała mnie na obiad. Poszedłem do domu. W czasie jedzenia usłyszałem huk. Chłopaka porozrywało, nie miał rąk. Pojechał do szpitala, tam zmarł. Można powiedzieć, że cud mnie wtedy uratował. Krowy wylatywały w powietrze na minach. Na polach znajdowały się czołgi z zamkniętymi włazami. Byliśmy dociekliwi. Na siłę otwieraliśmy właz, a tam w środku siedziała cała załoga. Pamiętam szpital polowy, przypuszczalnie niemiecki. Zajmował duży teren, biało tam było od waty i opatrunków. Była tam masa obandażowniczych szyn do usztywniania złamań. W środku były fragmenty ciał ludzkich. W tym wszystkim stał spalony rosyjski czołg. Prawdopodobnie

postanowił się po prostu przejechać po rannych. Czołg miał poowijane bandaże na gąsienicach i wszystkich wystających częściach. Tam go dopadli i zniszczyli. Widziałem to parę miesięcy po przejściu frontu. Miałem własną ¹²pepekę. Usiłowałem wykorzystać ją naa zające. Okazało się, że na zające trzeba mieć śrut. Zapaliśmy więc je w sidła.

Najpełniej pamiętam czasy od 1943 r. jak nas przenieśli z Uksory do Borka, w pobliże Szenkurska. Tam życie nasze już się odmieniło. Wyszliśmy z puszczy, z lasów. Już były jakieś elementy cywilizacji. Choćby widziany raz samochód, czy to miasto ze sklepami, czy to statek rzeczny, czy rower, który raz czy drugi tam się pojawił, czy choćby ten traktor kołchozowy, który stale był w remoncie. Następnie ta inność była co raz bardziej przyspieszona. Płynięcie statkiem, Wielkie miasto Archangielsk. Przejazd z północy na południe przez całą Rosję, aż do Ukrainy, poprzez wielkie miasta Połtawę, Orzeł, Charków. Zaliczyliśmy także obrzeża Moskwy. Potem Ukraina, absolutnie inna od Rosji północnej. Tam już prawie zimy nie było, stale było ciepło, była inna przyroda, Lasu nie było, bo Niemcy wszystko wyrabali na potrzeby wojska. I jeszcze zetknięcie się z techniką wojenną. Była ona dla nas na codzień użytkowa. Prochu używaliśmy do rozpalania ognia, z piorunującego materiału, z czubków pocisków robiliśmy zapalniczki dla starszych chłopaków, którzy sobie popalali. Odkryliśmy, że w czołgu można z teleskopu wymontować piękne soczewki, które skupiają promienie słońca. Można było przy ich pomocy rozpać ognisko. Te rzeczy już najlepiej pamiętam.

O drodze powrotnej mogę powiedzieć niewiele. Żadnych szczególnych wydarzeń nie było. Wagony były przybrane biało-czerwonymi flagami, orłami wyciętymi z papieru, gałązkami zielonymi. Panowało jakby święto. A jednak coś się wydarzyło! Na jednym z postojów

miałem z grupą kolegów, rówieśników dość nieprzyjemną przygodę. Pociąg się zatrzymał, patrzymy, a na polu stoi cała masa czołgów w doskonałej kondycji. Ponieważ mieliśmy już do czynienia ze zniszczonymi, spalonymi, przewracanymi czołgami, więc huzia do nich zaraz do peryskopów. Nie zdążyliśmy jeszcze nic rozkręcić, gdy usłyszeliśmy krzyki. Okazało się, że to była jednostka wojskowa, że to były czołgi bojowe. Wszystkich nas tam zwinęli i odstawili na NKWD. Tam zaczęły się pytania: "A co? A kto? A dlaczego? A co chcieliście robić? Co chcieliście niszczyć?" Odpowiadaliśmy, że nie chcieliśmy nic niszczyć, że chcieliśmy się bawić. "Jak to, czołgami? A nikt tam was nie pogonił?" "Nikogo nie było!" Potem, z pewnością komuś się dostało, że nie było żadnej warty. Potrzymali nas tam kilkanaście godzin. Kazali nam nosić węgiel z piwnicy do takiej komórki. Byliśmy czarni jak górnicy. W pociągu opiekunowie, rodziny, matki szalały z rozpaczy ponieważ dzieci zniknęły. Pociągi nasze miały to do siebie, że nie były rozkładowe, tylko ruszały wtedy kiedy los zrządził. NKWD było dobrze poinformowane o czasie odjazdu naszego pociągu. W pewnej chwili przerwali nasze noszenie węgla, dali nam po bochenku chleba i powiedzieli: "Biegnijcie szybko do pociągu, bo możecie nie zdążyć!" Zdążyliśmy.

Granice przekraczaliśmy w Medyce. Nic mi szczególnego nie utknęło w pamięci z drogi od Medyki do Radomia. Bo wylądowaliśmy w końcu w Radomiu. Tam mieszkał brat mojego ojca i byliśmy pewni że jest na miejscu. Wysiedliśmy na dworcu i zrobiliśmy sobie sensację. Mieliśmy połataną buty z cholewami, kufajki, czapki futrzanki, wprawdzie był marzec, ale w Polsce było już ciepło, no i mówiliśmy dziwnym językiem dopytując się o adres. Mama, jak to mama, zapobiegliwa i energiczna, wynajęła jakąś furmankę, bo mieliśmy - pamiętam - klatkę zbitą z patyków, w której wieźliśmy kilka kur. Tak, z tymi kurami znaleźliśmy się w czymś, co dla mnie by-

ło nie do pojęcia. W normalnym polskim mieszkaniu, z dywanem, z obrazem, z meblami. Pamiętam to przerażenie, a właściwie osłupienie tych ludzi, którzy otworzyli nam drzwi i usłyszeli od mamy kim jesteśmy. Nas było troje. Mama, brat i ja. Kury długo jeszcze stały na balkonie, a ja z bratem zaczęliśmy chodzić po mieście. Zobaczyliśmy sklepy, a w nich rzeczy znane nam jedynie z opowieści. Ciocia szybko mną się zajęła. Była nauczycielką, zrobiła mi egzamin z języka polskiego i zakwalifikowała mój poziom wiedzy, jako odpowiedni do klasy piątej. Szkoda, bo mogłem iść do szóstej. Potem rozjechaliśmy się. Brata zatrzymał wujek w Radomiu. Mnie do siebie wziął inny brat ojca. Pojechałem do Kraśnika koło Lublina, a mama pojechała do swojej siostry do Jarocina, niedaleko Poznania, gdzie w końcu zapuściliśmy korzenie. Jak mama tam sobie załatwiła przez PUR mieszkanie, jakąś odzież, znalazła pracę, to zamieszkaliśmy w Jarocinie we trójkę.

Moja adaptacja do normalnych cywilizowanych warunków życia trwała nie|długo. Wróciłem przesież w marcu i zaraz w marcu poszedłem w Kraśniku do szkoły, do klasy piątej, którą skończyłem już w Jarocinie. W Jarocinie były znów odrębne obyczaje i bądźmy szczerzy, inny język. Poznaniacy mają tak, jak każda dzielnica Polski, swoje dzielnicowe nawyki, własne, w wielu przypadkach, słownictwo. Kiedyś w Jarocinie jeden chłopak się na mnie obraził, było to zaraz po przyjeździe. Szliśmy ze szkoły, on miał dziurę w spodniach i go zapytałem, gdzie porwał tak te spodnie. Mało, że się rękoczynem nie skończyło, bo go posądziłem o kradzież spodni. Po poznańsku "porwać" znaczy "ukraść".

W późniejszym życiu nie spotykały mnie żadne szykany czy przykrości ze strony władz, ze względu na mój pobyt w Rosji. W każdym razie nic mi o tym nie było wiadomo. W 1985 r. wyszła ustawa o zaliczeniu do nagrody jubileuszowej okresu pobytu na zesłaniu.

Wtedy złożyłem w swoim macierzystym zakładzie odpowiednie papiery i między innymi dołączyłem, jako dowód świadectwo szkolne. Zrobiłem to dlatego, że ustawa mówiła wyraźnie, że zesłanie zalicza się bez względu na wiek pracownika. Po dwóch dniach kadrowiec wręczył mi z wielką radością pismo, gdzie było napisane, że skoro obywatel w tym czasie chodził do szkoły, to jakiegokolwiek upominanie się o uznanie tego okresu do nagrody jubileuszowej jest śmieszne. Napisałem odwołanie, załączyłem tekst ustawy, bo się okazało, że w kadrach do ustawy wcale nie zajrzeli. Moje pismo wysłano do Warszawy do Ministerstwa Pracy, żeby tam zadecydowano co ze mną zrobić. Kadrowiec odszedł z naszego zakładu i właściwie sprawa się na tym skończyła. Od 34 lat pracuję w Zakładach Cegielskiego.

Po wojnie mama próbowała zrekonstruować losy ojca. / Ja osobiście w tym udziału nie brałem. / Wiem, że mama pisała do Czerwonego Krzyża i przez ambasadę w Moskwie do władz radzieckich. Odpowiedź zawsze była taka sama, jaką podano w pierwszym zaświadczeniu. Czasami dochodziły do nas słuchy, że ktoś tam, gdzieś tam, z kędyś tam wrócił i podobno ojca widział. Potem jak przychodziło do konfrontacji to się okazywało, że nie w tym miejscu, nie w tym czasie i nie ten człowiek. Mnie kiedyś poderwał na baczność mój kolega z pracy. Doniósł mi, że zetknął się z kimś, kto przeszedł mniej więcej podobne losy, zadzwonił do mnie, że jego ojciec doskonale zna się z moim ojcem z tamtych czasów. Więc ja w pociąg do Gdańska, a staruszek ... zawział się i umarł.

Jak patrzę z perspektywy długiego już czasu i oceniam swoje doświadczenia z tamtych czasów, to wyciągam takie przesłanie: "Najważniejsze jest nie poddawać się nawet w najgorszej sytuacji, walczyć do końca tak, jak to robiła moja matka." Ci Polacy, którzy się poddali poprostu szczęli. To poddanie polegało na zrezygno-

waniu, oni powiedzieli sobie: "nie ma wyjścia". Nadzieja na powrót była rzeczą, która ratowała, pomagała wyjść z najgorszych opresji, no i wiara, że to będzie miało miejsce.

Pamiętek i dokumentów, jakie posiadam z tego okresu, bądź które zdobyłem w czasie późniejszym, mam niewiele. Mam oryginalne świadectwo ukończenia drugiej klasy szkoły podstawowej w Borku, świadectwo uczęszczania do szkoły w Szarowce, Nowa Praga. Mam zdjęcie z przedszkola - przypuszczalnie z roku 1942. Na fotografii jest cała grupa przedszkolaków z wychowawczyniami. Niestety nazwisk wychowawczyń nie pamiętam. Wiem, że to np. była kierowniczka, a to był jej syn. A tu charakterystyczny plakat na ścianie: "Szczęśliwym dzieciom rosyjskim". Wspólnym dokumentem brata i moim jest karta ewakuacyjna wydana w lutym 1946 r., na podstawie której wróciliśmy do Polski i oryginał świadectwa NKWD wydany w związku ze śmiercią ojca.

Nagrał: Krzysztof Gozdowski
Spisana i opracowana: Danuta Więcek

AW Oddział Poznań
Kwiecień - czerwiec 1992

**TABELA ZWROTÓW PRZY LIKWIDACJI KSIĄŻECZKI
OBLICZONYCH ZGODNIE Z § 9 I § 12 POSTANOWIEN.**

Liść opłaconych 3-miesięczn. okresów	Kwota zwrotu brutto	Potrącenia	Liść opłaconych 3-miesięczn. okresów	Kwota zwrotu brutto	Potrą- cenie	
1	15.—	a) 1 zł 50 gr koszty P. K. O., b) po 50 gr za udział w każdym losowaniu, do którego książeczka została przyjęta, najwyżej jednak za 4 losowania, c) 50 gr za koszt druku książeczki.	20	300.—	50 gr za koszt druku książeczki	
2	30.—		21	316.13		
3	45.—		22	332.31		
4	60.—		23	348.54		
5	75.—		24	364.84		
6	90.—		25	381.21		
7	105.—		26	397.63		
8	120.—		27	414.11		
9	135.—		28	430.65		
10	150.—		29	447.26		
11	165.—		30	463.93		
12	180.—		31	480.66		
13	195.—	a) 2 zł za udział w losowaniach, b) 50 gr za koszt druku książeczki.	32	497.44		
14	210.—		33	514.31		
15	225.—		34	531.23		
16	240.—		35	548.21		
17	255.—		36	565.24		
18	270.—		37	582.36		
19	285.—		50 gr za koszt druku książeczki	38		600

Likwidacja nie może nastąpić wcześniej jak po upływie roku od chwili otwarcia książeczki

221

668.890-P

PROSZONA KASA OSZCZĘDNOŚCI
WARSZAWA

P.K.O. WARSZAWA
27-1-1930
KSIĄŻECZKA

KSIĄŻECZKA
OSZCZĘDNOŚCIOWA PREMIOWANA

SERIA V GRUPA B

KUCHARSKI
KONRAD

DOKŁADNY
ADRES: ZDZIECIOŁ
WIAZOWIEC

... Książeczka niniejsza będzie brała udział w losowaniach premij odrywających się w dniach: 27 lutego, 27 maja, 27 sierpnia i 27 listopada pod warunkiem regularnego wpłacania wkładek za okres poprzedzający miesiąc losowania, zgodnie z § 9 i § 12 postanowień

8

Grupa B

Oplacono wkładkę z 5.—
za czerwiec

Datownik

 Podpis

**UWAGA!
PRZESTRZEGAC
KOLEJNEGO
ODRYWANIA
DOWODÓW!**

Oplacono wkładkę z 5.—
za lipiec

Datownik

 731

668.890-P

SIERPIEŃ

NIE WŁAŚCIWY
przyjąć wkładki

668.890-P

WRZESIEŃ

NIE WŁAŚCIWY
przyjąć wkładki